

Otóż nie można wymagać jaśniejszego dowodu – nie chcę powiedzieć: arbitralnego wypaczenia sensu *Krytyki*, ponieważ bynajmniej nie jest ono wystarczająco zwodnicze, by mogło kogokolwiek omamić, lecz całkowitego niezrozumienia pytania, o które [w niej] chodzi – niż ten, którego dostarcza tu Pan Eberhard. Jego zdaniem, pięciokąt jeszcze jest rzeczą dostępną zmysłom, tysiącokąt atoli już tylko rzeczą inteligibilną, czymś niezmysłowym (lub, jak on to ujmuje, czymś nieobrazowym). Obawiam się, że dziewięciokąt leżał będzie dalej niż w połowie drogi od tego, co zmysłowe, do tego, co nadzmysłowe, jeśli bowiem ilości boków nie liczy się na palcach, to trudno na pierwszy rzut oka określić ich liczbę. Pytanie brzmiało: czy możemy mieć nadzieję na uzyskanie poznania tego, czemu nie sposób dostarczyć żadnej odpowiadającej mu naoczności? *Krytyka*, w odniesieniu do tego, co nie może być przedmiotem zmysłów, odpowiedziała na nie p r z e c z a c o, jako że gwoli przedmiotowej realności pojęcia zawsze potrzebujemy jakiejś naoczności, nasza zaś, nawet ta, z którą mamy do czynienia w matematyce, jest tylko zmysłowa. Pan Eberhard na pytanie to odpowiada t w i e r d z a c o i na nieszczęście powołuje się przy tym na [przykład] matematyka, który każdorazowo demonstruje wszystko w naoczności, tak jakby mógł on za pomocą intelektu, nie dostarczając w wyobraźni swojemu pojęciu d o k ł a d n i e odpowiadającej mu naoczności, jego przedmiotowi całkiem dobrze przypisywać rozmaite predykaty, a w konsekwencji p o z n a w a ć go także niezależnie od tego warunku. Jeśli więc Archimedes opisał jeden sześćdziesięciodziewięciokąt na okręgu, a drugi weń wpisał, by udowodnić, że i o ile okrąg ten jest mniejszy od pierwszego i większy od drugiego, to czy wówczas podkładał on pod swoje pojęcie owego regularnego wieloboku jakąś naoczność, czy też nie? Niechybnie kładł ją u podstawy, nie w ten sposób jednak, że rzeczywiście to rysował (co byłoby żądaniem zbyt dużym i niedorzecz-

nym), lecz w ten sposób, że obeznany był z prawidłem konstrukcji swojego pojęcia, a więc świadom był swej zdolności określenia jego wielkości tak blisko wielkości samego przedmiotu, jak tego chciał, a więc zdolności dostarczania przedmiotu w naoczności stosownie do tego pojęcia, w ten sposób zaś wykazał realność samego prawidła, a przez to także tego pojęcia, na użytek wyobraźni. Jeśli by postawiono przed nim zadanie wykrycia sposobu, w jaki pewna całość składać się może z monad, to – wiedząc, że tego rodzaju rzeczy inteligibilnych nie należy poszukiwać w przestrzeni – przystałby na to, iż nie sposób o tym zupełnie niczego powiedzieć, ponieważ są to jestestwa nadzmysłowe, które występować mogą jedynie w myśli, nigdy jednak jako takie w naoczności. Pan Eberhard atoli, o ile tylko są one albo zbyt małe z uwagi na stopień wyostrzenia naszych zmysłów, albo z uwagi na terażniejszy stopień wyobraźni oraz jej zdolność ujmowania zbyt liczne w jakimś danym przedstawieniu naocznym, chce w nich widzieć przedmioty *n i e z m y s ł o w e*, o których mamy wiele dowiadywać się dzięki [samemu tylko] intelektowi. Wszelako nie zamierzamy mu tego zakazywać, jako że takie pojęcie tego, co nadzmysłowe, nie ma nic wspólnego z tym, co na ten temat mówi *Krytyka*, a ponieważ sam sposób jego wyrażania pociąga za sobą sprzeczność, nieprędko zapewne znajdzie on zwolenników.

Z tego, co powiedzieliśmy dotychczas, widać wyraźnie, że Pan Eberhard materiału na wszelkie poznanie poszukuje w zmysłach – postępując w ten sposób, nie czyni źle. Pragnie on jednak materiał ten przerobić również na poznanie tego, co nadzmysłowe. Za most, po którym chce się tam dostać, służy mu zasada racji dostatecznej, którą nie tylko przyjmuje w jej nieograniczonej ogólności (wtedy jednak wymaga ona zupełnie innego sposobu odróżniania tego, co zmysłowe, od tego, co intelektualne, niż ten, na który jest on gotów przystać), lecz także w jej sformułowaniu przezornie odróż-